

Kiedy zło  
ma znajomą  
twarz

ANNE METTE  
HANCOCK

# CIEŃCIE

\*\*  
Mroki  
Kopenhagi

MO  
VA

ANNE METTE  
HANCOCK

# CIEĆCIE

\*\*

Mroki  
Kopenhagi

Z JĘZYKA DUŃSKIEGO PRZEŁOŻYŁA  
Edyta Stępkowska



TYTUŁ ORYGINAŁU:

*Mercedes-snittet*

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczynie: Justyna Żebrowska

Redakcja: Ewa Kosiba

Korekta: Katarzyna Kusojć

Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz

Zdjęcie na okładce: © ChaoticDesignStudio, © Victor Moussa,

© tatiana\_ermakova / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

*Mercedes-snittet*

Copyright © 2018 Anne Mette Hancock

First published by Lindhardt & Ringhof, Denmark,

Published by arrangement with Nordin Agency ApS,

Denmark and Book/Lab Literary Agency, Poland

Copyright © 2021 for the Polish edition by Mova

an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Edyta Stępkowska, 2021

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2021

ISBN 978-83-66967-44-1



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

[www.facebook.com/wydawnictwo.mova](https://www.facebook.com/wydawnictwo.mova)



[www.wydawnictwokobiectwo.pl](http://www.wydawnictwokobiectwo.pl)

Wydawnictwo Kobiectwo

E-mail: [redakcja@wydawnictwokobiectwo.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiectwo.pl)

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

[www.wydawnictwokobiectwo.pl](http://www.wydawnictwokobiectwo.pl)

**M**ężczyzna poruszał się szybkim krokiem, jakby sunął między nagimi drzewami i krzakami. Mroźny lutowy wiatr zdawał się napierać ze wszystkich stron i wbijać tysiące igieł w policzki. Zaciągnął mocniej sznurek kaptura, ciasniej opatulając nim twarz, i jeszcze raz się rozejrzył.

Tego dnia w parku przy cytadeli Kastellet nie było ani jednego biegacza, ani nawet psiarza. Temperatura od kilku dni kołysała się niczym boja na morzu w okolicach zera stopni, ale wiatr sprawiał, że miało się wrażenie, jakby Kopenhagę nawiedziła zima stulecia. Przez ten ziąb miasto wyglądało na wyludnione. Miasto widmo.

Mężczyzna stał i nasłuchiwał.

Nic.

Żadne syreny nie wcinały się w spokojny szum miasta. Żadne niebieskie światła nie migały w półmroku.

Wspiął się na szczyt wału i spojrział w stronę wejścia do portu na wprost siedziby Mærsk i na parking przy Toldboden. Parking był pusty. Mężczyzna zmarszczył brwi i zerknął na zegarek.

„Gdzie oni są, u licha?”

Wyjął papierosa z paczki schowanej w wewnętrznej kieszeni kurtki i przykucnął obok jednej z armat. Próbował odpalić zapalniczkę, ale palce miał poźółkłe z zimna i zdrętwiałe. Prostował je i zginał, żeby pobudzić krążenie, i wtedy zauważył krew. Mała fioletowoczarna plamka w kształcie półksiężyca tuż pod paznokciem palca wskazującego.

Bez przekonania spróbował wydfubać skrzeptą masę, ale szybko się poddał i w końcu uruchomił zapalniczkę. Gdy tylko papieros zaczął się palić, schował ręce do kieszeni i trzymając papierosa w zaciśniętych wargach, zaczął chodzić tam i z powrotem po wale. Spoglądał przy tym niecierpliwie w stronę parkingu.

„No co jest, do cholery!”

Nie podobała mu się ta cisza. Gdy musiał na coś czekać, zawsze robił się nerwowy, czuł drgający niepokój w brzuchu. Wolał stale mieć jakieś zajęcie, być w ruchu. Cisza zostawiała w głowie przestrzeń do refleksji, a wtedy jego myśli zawsze wracały do dymu tak gęstego, że musiał się poruszać po omacku wśród porozrywanych ciał. Wracały do krwi, która połała się z jego oczu i spływała po policzkach. I do ciszy. Porażającej ciszy, która zapadła po wybuchu, kiedy ci, którzy byli w stanie, wypełzali z ciemnej chmury pyłu i gromadzili się przed zniszczonym budynkiem.

Skamieniali. Zszokowani.

Gdyby tylko mógł się pozbyć tych obrazów. Wypuścić je z głowy niczym pęk balonów i patrzeć, jak tańczą na niebie, aż całkiem znikną w przestworzach.

Znów popatrzył w stronę Toldboden akurat wtedy, gdy srebrnoszare audi wjechało na parking i zatrzymało się przed

budynkiem. Silnik pozostał włączony, ciepła rura wydecho-  
wa parowała na zimnie. Pojedynczy sygnał długimi światłami  
oznaczał, że droga wolna.

„Nareszcie!”

Ruszył w stronę samochodu, ale kiedy był w połowie wału,  
dostrzegł coś, co kazało mu zwolnić. Zmrużył oczy i skupił  
wzrok na kładce biegnącej nad fosą otaczającą cytadelę.

W końcu się zatrzymał.

Na środku kładki ktoś stał. Sylwetka niemal zlewała się  
z panującym wokół półmrokiem, ale zauważył kaptur na głó-  
wie i pomarańczowy plecak na plecach.

W pierwszej chwili zwolnił kroku, bo jego uwagę przykuła  
nienaturalna, na wpół zgięta pozycja, jaką przybrała postać na  
kładce. Tym jednak, co kazało mu się zatrzymać, było dziecko  
przytrzymywane przez tę postać.

Chłopiec, którego wiek mężczyzna ocenił na osiem, może  
dziewięć lat, wyglądał na bezwładnego i był do połowy prze-  
wieszony przez barierkę kładki. Postać z plecakiem trzymała go  
za plecy puchowej kurtki. Mówiła coś do chłopca, ale wiatr po-  
rywał i dziurawił słowa, więc mężczyzna niczego nie zrozumiał.

Ponownie spojrzął w stronę parkingu i samochodu, którego  
kierowca znów ponagląco dał sygnał światłami. Musiał się  
pośpieszyć, ale...

Znowu skierował wzrok na kładkę.

I wtedy ręce wypuściły chłopca.

## 2

**K**linika mieściła się w porośniętej bluszczem willi w podwórzu, którego mur zazdrośnie strzegł pałacu Fryderyka VIII. Z okna poczekalni Heloise Kaldan widziała czubek pokrytej lodem kopuły kościoła Marmurowego i straż królewską chodzącą tam i z powrotem po placu zamkowym przed Amalienborgiem, wyrzucającą przed siebie ramiona i nogi niczym lunatycy w śnieżnej kuli.

Wzięła do ręki jeden z leżących na stoliku kolorowych magazynów i machając nerwowo stopą, przerzucała kartki. Adrenalina pobudzała jej zakończenia nerwowe i nie pozwalała skupić wzroku na zdjęciach z pokazów mody i reklamach kremów do twarzy. Blichtr i gloryfikacja nastoletniej anoreksji w pastelowym opakowaniu.

Ktoś w ogóle czytał te bzdury?

Zirytowana rzuciła czasopismo z powrotem na stolik i rozejrzała się po poczekalni.

Wszystko tu wyglądało jak skopiowane z kalifornijskiego magazynu wnętrzarskiego. Całość utrzymana w odcieniach bieli i koniaku, a jedynymi elementami przełamującymi

tę tonację były sukulentki w wielkich glinianych donicach. Ściany obwieszono plakatami i litografiami w najróżniejszych rozmiarach i formatach tak gęsto, że ledwie przebijał się spod nich ich grafitowy kolor. Na podłodze leżał kremowy berberyjski dywan, który niczym wisienka na torcie podkreślał stylistyczną spójność wnętrza. Wszystko było tak eleganckie i schludne, że niemal można by zapomnieć, co to za miejsce.

Chociaż nie...

W poczekalni siedziało jeszcze dwoje innych pacjentów. Starszy chudy mężczyzna i młoda dziewczyna o mlecznobiałej skórze i dużych jasnoszarych oczach. Heloise obstawiała, że dziewczyna nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat; miała też nadzieję, że była tu z innego powodu niż ona sama.

Kiedy do pomieszczenia wsunął głowę wysoki jasnowłósy mężczyzna w białych płóciennych spodniach i zielonym T-shircie, dziewczyna siedząca na wprost Heloise automatycznie wyprostowała się na krześle. Dziwacznie wciągnęła powietrze, oblizła wargi i próbowała je uwydatnić, robiąc na wpeł otwarty dzióbek. Wyglądała jak ktoś, komu coś nieprzyjemnie zapachniało.

Heloise pomyślała, że to pewnie jej mina do selfie. Jeden z najbardziej niedorzecznych wynalazków ostatnich czasów.

Stojący w drzwiach mężczyzna zarzucił głową, aby odsunąć kosmyk włosów z oczu, i skinął w stronę Heloise.

– Heloise?

Wstała.

Wkrótce będzie po wszystkim.





Lekarz gestem zaprosił ją do gabinetu. Na ekranie komputera przeczytał informacje z jej kartoteki, po czym spojrzął na nią.

– No dobrze, Heloise... Czyli jesteś w ciąży.

Niepoprawnie wymawiał jej imię. Twarde „h” nadawało mu szorstkie brzmienie. Jakby wypowiedanie go wymagało wysiłku. Heloise od czterech lat przy każdej wizycie poprawiała lekarza. Tym razem tego nie zrobiła. Powiedziała tylko:

– Tak, na to wygląda.

– To twoja pierwsza ciąża?

Potwierdziła skinieniem głowy i wyjęła test z torebki, żeby mu pokazać. W plastikowym okienku widać było dwie czerwone kreski. Jedna była wyraźna, a druga jaśniejsza, rozwodniona i słaba jak tęcza, którą z początku najlepiej widać, gdy się na nią nie patrzy wprost.

Lekarz spojrzął na test i pokiwał głową.

– Tak. Wygląda na pozytywny. I rozumiem, że to ci nie jest na rękę, tak?

– Zgadza się. Nie planowałam tego.

Znów pokiwał głową i usiadł w fotelu za lakierowanym białym biurkiem.

– No tak. Czasem tak się zdarza.

Heloise usiadła po drugiej stronie biurka, a torbę położyła na podłodze. Stary parkiet był, podobnie jak cały budynek, popękany niczym często używana waza na zupe i dziwnie wklęsnięty, przez co krzesło zachwiało się pod jej ciężarem.

Lekarz uśmiechnął się do niej życzliwie, dając jej do zrozumienia, że wszystko, co mu powie, pozostanie między nimi. Bez skrupowania patrzył Heloise prosto w oczy, a w jego policzkach pojawiły się dołeczki, jakby ktoś wcisnął palce w miękką

glinę. Jakieś dwa lata trwało, zanim się zorientowała, że jego magnetyczny urok i bezpośrednie spojrzenie nie są skierowane do niej osobiście. Nie flirtował z nią, był po prostu szczerze zainteresowany jej stanem zdrowia. Zresztą blask tych niebieskozielonych oczu był równie silny jak blask krążka z białego złota na jego serdecznym palcu.

– Według informacji, które podałaś, dzwoniąc dziś przed południem, to może być piąty tydzień. Zgadza się?

Heloise spuściła wzrok i pokiwała głową. Tak w każdym razie wyszło jej z kalkulatora znalezionej w sieci.

– To dobrze – stwierdził. – Bo widzisz, aborcję farmakologiczną możemy przeprowadzić tylko w ciągu pierwszych siedmiu tygodni ciąży. Między ósmym a dwunastym tygodniem pozostaje nam tylko aborcja chirurgiczna.

Heloise znów na niego popatrzyła.

– Czyli trzeba iść do szpitala?

– Tak. Sam zabieg jest szybki i bezpieczny, ale wymaga zastosowania narkozy, a tej zawsze lepiej unikać, jeśli tylko istnieje taka możliwość. Dlatego dam ci to... – Z opakowania, na którym zielonymi literami było napisane „Mifegyne”, wyjął jedną tabletkę i wręczył ją Heloise.

– Zażyjesz ją, gdy potwierdzimy wiek ciąży, i wówczas ten lek skutecznie ją przerwie. – Wykonał pół obrotu na fotelu i z wprawą zaczął wpisywać coś do komputera. – Poza tym dostaniesz receptę na pięćdziesiąt miligramów Diclonu, to preparat rozluźniający mięśnie, oraz na lek o nazwie Cytotec.

Kiedy mówił, Heloise poczuła, jak serce zaczyna jej bić dziwnym, nierównym rytmem.

„Ten lek skutecznie ją przerwie...”

Co ona, u licha, wyprawiała? Jak się tu znalazła?




Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

[www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl](http://www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl)

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 [facebook.com/wydawnictwo.mova](https://facebook.com/wydawnictwo.mova)



ul. Andersa 40A

15-113 Białystok

e-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

tel. 731-019-059